

Dominika Elsner
Centrum Wiedzy i Informacji Naukowo-Technicznej
Politechnika Wrocławska
dominika.elsner@pwr.edu.pl

Moja podróż życia

Streszczenie: W artykule opisano obyczaje i kulturę Amerykanów, poznane w trakcie trzyletniego pobytu w Stanach Zjednoczonych

Słowa kluczowe: podróże, Stany Zjednoczone, Ameryka, USA, kultura

Abstract: In the article American culture and customs were described, learned during a three-year stay in the United States.

Key words: travelling, the United States, America, USA, culture

Kiedy w 2008 r. wyjeżdżałam do Stanów, nie wiedziałam, że będzie to jeden z najbardziej intensywnych i pełnych przeżyć okres mojego życia. Nie przypuszczałam, że będę mogła się tak przywiązać do nowego miejsca, że poznam ludzi, z którymi rozstanie będzie tak bolesne. Za oceanem zostawiłam część siebie, ale przywiozłam wielki bagaż doświadczeń, uczuć, wspomnień, a także nowy sposób patrzenia na wiele spraw w moim życiu.

Gdy mój mąż powiedział mi, że otrzymał posadę adiunkta na Ohio State University w USA, nie byłam zachwycona, ale wiedziałam, że ten staż jest ważny w jego karierze zawodowej. Dla mnie był to bardzo spokojny i uporządkowany okres w moim życiu. Miałam to wszystko zostawić, by jechać na rok gdzieś na drugi koniec świata, do kraju, który zupełnie mnie nie interesował i w którym na dodatek trzeba porozumiewać się w języku obcym. Wszystko widziałam w czarnych barwach — wyobrażałam sobie dni spędzane samotnie z dzieckiem i wyczekiwanie powrotu męża z pracy.

15 września 2008 r. kompletnie przerażona (najbardziej pierwszym w życiu lotem), wsiadłam na pokład samolotu i tak zaczęła się moja podróż życia... Chciałabym opowiedzieć nie tyle o podróżach, co o moim codziennym życiu, o poznawaniu Ameryki i Amerykanów, na przykładzie Columbus — stolicy stanu Ohio, choć tak naprawdę mieście o dość prowincjonalnym, aczkolwiek niepozbanionym uroku, klimacie.

AMERYKA, AMERYKA

Wydaje mi się, że w Polsce przez lata funkcjonował i właściwie wciąż funkcjonuje mit Stanów jako krainy szczęśliwości — osiedlić się w Ameryce to znaczy podnieść swój poziom życia. Móc tam legalnie przebywać i pracować to wygrana na loterii. I tak i nie. Prawdą jest to, że w Stanach żyje się łatwiej, bo z jednej pensji można spokojnie wynająć mieszkanie (nawet dom) i utrzymać rodzinę. Ale z drugiej strony, Stany to nie socjalna Europa — doszły do swej pozycji poprzez naprawdę ciężką pracę obywateli i imigrantów.

Jak się pracuje?

Na rynku pracy obowiązuje jedna zasada — brak zasad. Dla kogoś kto pochodzi z Polski, oczywistym by było, że w kraju tak bogatym na pewno jest lepiej pod każdym względem. Czy na pewno? Słuchając opowieści naszych przyjaciół Amerykanów i obcokrajowców pracujących w Ohio zrozumiałam, że za to, co się dostaje, płaci się też dużą cenę. Ale po kolei.

Dzień pracy to ok. 8 godzin oraz dodatkowo przerwa na lunch (pół godziny do godziny). Jednak bywa tak, że pracownik musi skończyć projekt, nawet jeśli wymaga to pracy po godzinach, za co nie dostaje obligatoryjnie dodatkowego wynagrodzenia. Bardzo często pracuje się również w weekendy, nawet w takich instytucjach, które w Polsce w niedzielę na pewno byłyby zamknięte (np. biblioteki publiczne). Do pracy zwykle jedzie się długo, ponieważ rodzina podnosząc swój status materialny przenosi się do lepszych dzielnic, które są na przedmieściach. Mimo iż do pracy dojeżdża się autostradami, to zwykle w godzinach szczytu są na nich korki, co powoduje, że z centrum na obrzeża wraca się 30-60 min.

W Stanach nie istnieje kodeks pracy w polskim rozumieniu, tzn. zbiór powszechnie obowiązujących praw i przywilejów pracowniczych. To pracodawca w umowie o pracę ustala takie kwestie jak urlopy, zwolnienia, ubezpieczenia. Urlop wypoczynkowy płatny, to w najlepszym wypadku jakieś 10-15 dni (można ubiegać się o urlop bezpłatny, ale to też zależy od pracodawcy). Kobiety najczęściej pracują przez całą ciążę, a po porodzie mają prawo do 12 tygodni bezpłatnego (!) urlopu macierzyńskiego. W niektórych firmach w umowie o pracę zapisane jest prawo do 6 tygodni płatnego urlopu macierzyńskiego, co jest już (jak na amerykańskie warunki) bardzo pracowniczym zapisem. W związku z tym żłobki przyjmują dzieci już od 6. tygodnia życia. Czasem wynajmuje się nianię, ale jest to droższe rozwiązanie i niewiele rodzin na to stać. Nie ma takiego zwyczaju, żeby babcia opiekowała się wnukiem na pełny etat. Amerykanie na emeryturze odpoczywają, działają społecznie, uprawiają sport, podróżują — robią wszystko to, na co przez całe życie, przy takim systemie pracy, nie mieli czasu. Inna sprawa, że zwykle dziadkowie nie mieszkają w tym samym mieście czy nawet stanie. Ludzie szukając pracy przemieszczają się po całych Stanach i nierzadko do najbliższej babci mają kilka tysięcy kilometrów. Amerykanie nie znają czegoś takiego jak urlop wychowawczy. Sama idea urlopu wychowawczego, polegającego na utrzymaniu miejsca pracy przez kilka lat, budziła wielkie zdziwienie.

W amerykańskich filmach często widzimy sytuację, gdy bohater negocjując warunki pracy domaga się pensji *with benefits*. Takie *benefit*, to wszelkie dodatkowe świadczenia, jak płatny urlop wypoczynkowy, płatny urlop macierzyński, ubezpieczenie zdrowotne, ubezpieczenie emerytalne, ubezpieczenie chorobowe itd. Kontrakty *without benefits* oznaczają brak wszystkich wymienionych powyżej świadczeń, i nie są one rzadkością. Stąd bierze się problem wielu dziesiątek milionów Amerykanów nie posiadających żadnego ubezpieczenia zdrowotnego. Koszty opieki zdrowotnej są tam niewyobrażalnie wysokie, nawet w porównaniu do tamtejszych płac (np. poród kosztuje kilkanaście tysięcy dolarów, co odpowiada półrocznej średniej pensji).

W Stanach, znacznie częściej niż w Polsce, spotyka się rodziny, w których kobiety nie pracują zawodowo (nawet kiedy dzieci chodzą już do szkoły). Dzieje się tak dla-

tęgo, że mężczyzna z jednej pensji jest w stanie utrzymać rodzinę na przyzwoitym poziomie. Spotkałam wiele takich, zadowolonych ze swojego wyboru Amerykanek — mogły poświęcić się dla domu i rodziny, a jednocześnie znajdowały czas na swoje pasje czy działalność społeczną (jak np. lekcje angielskiego dla obcokrajowców, na które uczęszczałam).

Pozycja imigrantów

Nawet jeśli przebywa się na terenie Stanów legalnie, to zwykle dostaje się gorsze warunki pracy. Dlaczego? Pracodawcy doskonale zdają sobie sprawę z sytuacji imigrantów — jeśli chcą tu żyć, muszą pracować i godzić się na takie warunki, jakie im się proponuje. Znajoma Tajwanka opowiadała mi, że jej mąż odkąd zatrudnił się po zrobieniu doktoratu w prywatnej firmie (5 lat) nie miał ani jednego dnia urlopu. Spytałam, czy nie mógłby poszukać innej pracy, gdzie miałby lepsze warunki. Ona się uśmiechnęła i powiedziała, że wobec takich jak oni obowiązują inne reguły. Mój mąż zatrudniony był na posadzie naukowo-dydaktycznej i w okresach wolnych od zajęć ze studentami nie miał obowiązku przebywania na terenie uczelni (w wakacje mogliśmy jechać do Polski). Natomiast na tym samym uniwersytecie na stanowisku naukowym pracowała nasza sąsiadka Bułgarka (prowadziła badania genetyczne) i jej nie przysługiwał żaden urlop wypoczynkowy!

Prócz tego, że imigranci dostają gorsze warunki pracy, to zwykle pracują na gorszych posadach. Jeśli przyjrzeć się, kto pracuje w marketach, kto sprząta, kim są kierowcy autobusów itp., to najczęściej widzi się Meksykanów, uchodźców z Somalii (Columbus to jedno z dwóch głównych miast amerykańskich, gdzie ich osiedlono), Azjaci. Fakt, że inaczej wygląda to w przypadku ludzi wykształconych, wybitnych, których Stany ściągają do siebie oferując całkiem niezłe warunki pracy (a potem słyszymy, że Amerykanie coś wynaleźli... tylko nie wspomina się, że stało się to za sprawą naukowców pochodzących z Europy, Azji, Ameryki Południowej).

A jak to jest z nielegalnymi imigrantami?

Z jednej strony Ameryka prowadzi bardzo restrykcyjną politykę wizową, z drugiej strony nie ściga osób, które po wygaśnięciu wizey pozostają tam nielegalnie. Jak się już przejdzie odprawę na lotnisku (sama wiza nie uprawnia do wjazdu na teren USA, ostateczną decyzję podejmuje urzędnik imigracyjny na amerykańskim lotnisku), to można już zostać w Stanach na długie lata, czy nawet na całe życie.

Sytuacja imigrantów jest różna, zależna od tego rodzaju wizey wjechali do Stanów. Jeśli była to wiza pozwalająca na podjęcie pracy (w tym także wydawana studentom w ramach programu *work and travel*), to otrzymali oni *social security number* który jest kluczem do dalszego w miarę spokojnego życia. Co prawda nie mogą opuścić terytorium Stanów (nie mieliby powrotu), ale mogą otworzyć konto w banku, założyć firmę, kupić dom na kredyt, otrzymać amerykańskie prawo jazdy i legalnie płacić podatki. Problem pojawia się wtedy, gdy nie ma się SSN, bo bez niego nie znajdzie się np. legalnej pracy. Ale można pracować nielegalnie jednocześnie legalnie płacąc podatki — nielegalny imigrant otrzymuje w tym celu *individual tax number* (odpowiednik naszego NIP-u). Urząd skarbowy nie ma prawa dzielić się informacjami z urzędem imigracyjnym, więc płacenie podatków przez nielegalnych imigrantów jest dla nich „bezpieczne”.

Bycie nielegalnym imigranem (nawet bez SSN), gdy ma się wsparcie od rodaków będących w tej samej sytuacji, nie jest aż tak dokuczliwe. Dlatego właśnie w Chicago jest tak duże skupisko Polaków i to w większości przebywających nielegalnie. Polacy pomagają znaleźć pracę, zazwyczaj w polskiej firmie, gdzie nawet nie trzeba znać języka. Pracodawca mniej płaci takiej osobie, dzięki czemu jego usługi są tańsze, a zatem konkurencyjne wobec firm amerykańskich, a pracownik ma z czego żyć (i tak na lepszym poziomie niż w Polsce). W Chicago są polskie sklepy, kościoły, stowarzyszenia, polskojęzyczne media, więc żyje się niemal jak w ojczyźnie. Zatem można żyć w Stanach przez lata, obracając się w polskim środowisku, i nie znać języka, nie nauczyć się nawet jego podstaw.

Dokuczliwe jest to, że nielegalny imigrant nie może zrobić amerykańskiego prawa jazdy. Prawo jazdy jest ważne po pierwsze dlatego, że pełni ono funkcję głównego dowodu tożsamości. Po drugie, bez prawa jazdy trudno się żyje w Ameryce, bo miasta są bardziej rozległe niż w Polsce¹. Co robią zatem Polacy? Jeżdżą bez prawa jazdy (polskiego prawa jazdy można używać jedynie przez pierwsze pół roku pobytu w USA). A jakie są tego konsekwencje? Odpowiadając na to pytanie przytoczę pewną prawdziwą historię z Chicago. Nielegalnie przebywający Polacy, jeżdżący bez amerykańskiego prawa jazdy, mieli stłuczkę z ich winy. Przyjechała policja, a oni ani słowa po angielsku. Przedzwonili do swoich znajomych, którzy dotarli kilka minut później i porozumieli się z policją. Wszyscy spokojnie wrócili do domów, bo wiadomo jak takie historie zwykle się kończą. Za brak prawa jazdy sprawcy wypadku zostaną wezwani do sądu i sędzia zasądzi grzywnę. Oczywiście policja i sąd domyślają się, że są to nielegalni imigranci, ale nie są zobowiązani do sprawdzania ich statusu, poza tym nikt nie ma interesu w tym, żeby powiadomić urząd imigracyjny. Najważniejsze, że mieli wykupione ubezpieczenie i ono pokryje wszystkie szkody. I oczywiście, że nikomu nic się nie stało.

Można się spytać po co w takim razie cała ta hipokryzja. Nie wiem. Może dlatego, że ci ludzie są częścią całego systemu gospodarczego i być może bez nich Ameryka nie byłaby taką potęgą gospodarczą. Imigranci są od „czarnej roboty”, poza tym są zadowoleni z tego, że mają pracę i mogą tu żyć, a Amerykanie mogą zająć się bardziej ambitnymi i lepiej płatnymi zajęciami.

AMERYKANIE

Jacy są Amerykanie? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Pewnie tak różni jak różni są Polacy. Spotkałam ludzi nastawionych obojętnie, czy wręcz niechętnie do obcokrajowców — pracodawców wykorzystujących swoich pracowników, lekarzy odnoszących się z lekceważeniem do imigrantów. Poznałam ludzi, którzy z wielkim zainteresowaniem nawiązywali rozmowę, wypytyując skąd jestem i jak się tu czuję, podawali mi swój numer telefonu, bym zadzwoniła i umówiła się na następne spotkanie. Niemniej, kiedy dzwoniłam wydawali się tym faktem bardzo zaskoczeni... Spotkałam też ludzi, którzy wiele swojego czasu, energii i pieniędzy poświęcali na

¹ Komunikacja miejska jest bardzo dobrze rozwinięta w centrach wielkich metropolii (jak Chicago czy Nowy Jork), ale na ich obrzeżach czy w innych miastach sytuacja wygląda zupełnie inaczej.

pomoc obcokrajowcom w zadomowieniu się w Stanach². Ich otwartość wobec imigrantów brała się z dobroci serca i empatii. Zdawali sobie sprawę jak trudno jest żyć z dala od ojczyzny i rodziny, w kraju o obcej kulturze i innych zasadach funkcjonowania w społeczeństwie. Niektórzy z tych Amerykanów potrzebowali po prostu kontaktu z drugim człowiekiem (ludzie samotni, emeryci), ich pomoc przyjezdnym była pewnego rodzaju sposobem na życie. Organizowane przez nich lekcje, wycieczki, zaproszenia do domu na obiad, były dla mnie cennym doświadczeniem, ale oni zawsze powtarzali, że poznawanie takich ludzi jak ja (z Polski, z dalekiego i nieznanego kraju) jest również dla nich wspinałym przeżyciem.

Te różne postawy wobec obcokrajowców nie zmieniają faktu, że niemal wszyscy Amerykanie bardzo chętnie przyznają się do swoich korzeni, wyliczając dziadków i pradziadków, którzy przybyli do Stanów jako emigranci z Europy czy innych zakątków świata. Ta fascynacja niestety rzadko łączy się z wiedzą o kraju pochodzenia przodków czy znajomością ich języka (nawet w drugim pokoleniu). Pamiętam jak pewna Amerykanka z dumą opowiadała mi o swoim dziadku z Islandii, po czym spytała czy Islandia graniczy z Polską... Amerykanie często w ogóle nie wiedzą gdzie leży Polska, niektórzy kojarzą, że gdzieś „za” Europą. Na początku mnie to dziwiło, ale zrozumiałam, że to nasz europocentryczny punkt widzenia — podział polityczny Europy dla nas wydaje się czymś oczywistym. A przecież gdyby przeprowadzić sondaż i spytać, gdzie leży najbardziej polskie miasto w Stanach — Chicago — niewielu z nas potrafiłoby podać nazwę stanu czy określić położenie geograficzne. Inna sprawa, że wielkość tego kraju powoduje, że przeciętny Amerykanin, zwłaszcza przy tak krótkich urlopiach, nigdy w swoim życiu nie był za granicą (a już na pewno nie w Europie).

Mam wrażenie, że cechą charakterystyczną Amerykanów jest otwartość, ale rozumiana inaczej niż u nas. Jeśli Polak kogoś lubi, to okazuje to i jest to szczere, ale jak nie darzy kogoś sympatią, to nie będzie tego ukrywać. Inaczej niż Amerykanie. Popularne przywitania: *How are you?* — *I'm fine*, obowiązuje jako towarzyska etykieta dobrego zachowania. Prawdziwych odczuć tak łatwo się nie ujawnia — choćbyś nie wiem jak się źle czuł, nigdy nie pokazuj złych emocji, zawsze uśmiechaj się, bądź towarzyski i traktuj wszystkich jak przyjaciół. Pewnie dlatego dostałam numer telefonu od poznanej na placu zabaw mamy. Nieznajomym okazuje się sympatię, ale przecież wiadomo, że to wcale nie oznacza, że naprawdę jesteś przyjacielem. Ja tego nie wiedziałam, dopiero musiałam się tego nauczyć. Większość moich lekarzy traktowała mnie w taki sposób, jakby od lat byli lekarzem-przyjacielem naszej rodziny. To ci niemili byli prawdziwym zaskoczeniem i to oni paradoksalnie pozwalali mi się poczuć „jak w domu”. Pamiętam, że był czas, kiedy bardzo irytowało mnie radosne i natrętnie przywitania kasjerów w supermarkecie: *How are you?* Pewnego razu miałam naprawdę zły dzień i odpowiedziałam ze złością, że miewam się źle... Kasjer był w takim szoku, że odeszłam od kasy nie mogąc powstrzymać się od śmiechu. Przynajmniej poprawiłam sobie nastrój.

² W Columbus działają organizacje niosące pomoc imigrantom, jak np. *International Friendship* (<http://columbus.ifiusa.org/>). Ich wolontariusze pomagają w wynajęciu i umeblowaniu mieszkania, załatwieniu spraw urzędowych, integrują przyjezdnym zarówno z innymi swoimi podopiecznymi, jak i z Amerykanami.

JEDZENIE

Oglądając amerykańskie filmy mimowolnie wiele dowiadujemy się na temat amerykańskiej kultury czy obyczajów. Pierwsze miesiące spędzone w Stanach były dla mnie czasem konfrontacji tej wiedzy z rzeczywistością, odkrywania, na ile prawdziwy jest obraz Ameryki przekazywany przez kino. Jedną z najbardziej interesujących mnie kwestii były panujące zwyczaje żywieniowe.

Zwyczaje żywieniowe

Amerykanie, zgodnie z tym co się słyszy, faktycznie mają społeczny problem z otyłością. Codziennie widuje się osoby monstrualnie otyłe. Myślę, że wynika to ze złych zwyczajów żywieniowych, ale także z „siedzącego” trybu życia. Knajpy typu fast-food, podobnie jak pizzerie, są bardzo popularne. Dominują w krajobrazie miasta, ale też poza miastem — podróżując po kraju jest to niemal jedyne miejsce, gdzie można coś zjeść. Fast-foody są też popularnym miejscem lunchów, w tym także dla rodzin z małymi dziećmi. Pamiętam jak znajoma zaciągnęła mnie do „restauracji”, do której zwykle chodzi ze swoją dwuletnią córeczką na lunch i zamówiła dla niej frytki. Od razu przypomniała mi się broszurka, którą czytałam w poczekalni u pediatry, przedstawiająca wyniki badań zwyczajów żywieniowych wśród amerykańskich dzieci. Wynikało z nich, że najczęściej spożywanym warzywem wśród półtorarocznych dzieci są... frytki.

Pytałam mieszkające w Stanach Polki (najczęściej żony Amerykanów) czy według nich prawdziwy jest stereotyp mówiący, że Amerykanie żywią się głównie hamburgeropodobnym jedzeniem. Mówiły że tak, i że nawet w domach podaje się głównie potrawy smażone, ewentualnie pieczone. Na pewno nie jest to regułą — byłam zapraszana do domów, w których przywiązywano dużą wagę do zdrowego jedzenia.

Co ciekawe, Amerykanie rzadko piją herbatę. Na różnych spotkaniach towarzyskich podaje się kawę (pije się ją w dużych ilościach, ale znacznie słabszą) albo bardzo słodką czekoladę na gorąco. Takie poczęstunki z pićm i ciastkami, zwane *snack time*, są bardzo popularne i towarzyszą wielu spotkaniom (na kursach językowych, spotkaniach w bibliotece, po mszach).

Otyłość może być też powiązana z tym, w jaki sposób produkowana jest żywność. Do większości produktów dodaje się wysokofruktozowy syrop kukurydziany, słodszy i tańszy odpowiednik cukru, podobno znacznie mniej zdrowy i przyczyniający się do otyłości. Syrop ten jest składnikiem pieczywa, którego podobnie jak u nas spożywa się sporo. Chleb występuje w różnych odmianach, ale wszystkie bardziej przypominają w smaku nasz chleb tostowy, ma całą masę składników, które poprawiają walory smakowe oraz przedłużają świeżość.

Wracając do siedzącego trybu życia — przeciętna amerykańska rodzina ma tyle samochodów, ilu pełnoletnich członków. Amerykanie przemierzają się samochodami wszędzie gdzie tylko się da (a da się częściej i bardziej niż w Polsce) — do sklepu (również osiedlowego), do parku (przy każdym placu zabaw jest parking), do śmietnika na osiedlu... W centrach miast bywają miejsca, których nie da się pokonać pieszo (z uwagi na brak chodników), ale niewiele jest miejsc, do których nie da się dojechać. Przy urzędach, sklepach, ale też parkach, bibliotekach czy kościołach zawsze będzie

duży parking. Bardzo popularne są też okienka *drive thru*, które pozwalają na załatwienie jakiejś sprawy bez konieczności wysiadania z auta. Takie okienka są przy aptekach, bibliotekach (!), fast-foodach... Liczba autostrad jest oszałamiająca — przez nasze prowincjonalne Columbus przebiegały cztery autostrady oraz autostradowa obwodnica miasta. A najszersza autostrada jaką zdarzyło nam się jechać miała 14 pasów (po siedem w każdą stronę).

Narodowa kuchnia

Jeśli by spytać Amerykanów o potrawy z narodowej kuchni, to wymieniają hamburgery i frytki, pizzę oraz nadziewanego indyka (jedynie ta ostatnia to typowe amerykańskie danie, przygotowywane na Święto Dziękczynienia). Ja stworzyłabym inną listę tamtejszych narodowych potraw — prócz wymienionego wyżej nadziewanego indyka, dopisałabym naleśniki polewane syropem klonowym, ciasto dyniowe i sok żurawinowy (bardzo popularny w czystej postaci lub w połączeniu z sokami z innych owoców). Amerykanie przejmują potrawy innych narodów i stopniowo zaciera się świadomość skąd pochodzą ich ulubione frytki (Belgia) czy pizza albo spaghetti (Włochy). Warto w tym miejscu powiedzieć o pewnej ciekawostce — w sklepach znajdziemy dwa dania polskiego pochodzenia — pierwsze to *Polish sausage* lub *pol-ska kielbasa* (pisane przez „l”), co faktycznie smakuje jak polska kielbasa. Drugie to *pierogis*, wzorowane na naszych ruskich pierogach, ale bez białego sera, którego Amerykanie nie znają.

Sklepy

Jeśli chodzi o asortyment sklepów, to nieprawdą jest to, że w marketach sprzedają głównie półprodukty „podgrzej i zjedz” i że mają niedobłą modyfikowaną żywność. Trzy lata mieszkania w Stanach nie zmieniły moich zwyczajów żywieniowych — gotowałam sama, potrawy takie jak w Polsce. Dużą trudnością było dla nas zdobycie lepszego chleba. Bardzo brakowało mi białego sera i „naszych” ogórków kiszonych i konserwowych. W sklepach można kupić ogórki w słoikach, ale przygotowywane są inaczej — w solonym occie, co smakuje raczej dziwnie, zwłaszcza jeśli jest się przyzwyczajonym do innych smaków. Asortyment sklepów jest generalnie bardzo duży, można dostać produkty, których Amerykanie nie znają i nie kupują, ale sprowadza się je ze względu na dużą grupę imigrantów. Pamiętam jak często kasjerzy próbując nabić na kasie cenę, pytali mnie co to jest, wskazując na korzeń pietruszki czy selera. Bardzo popularne są „narodowe” sklepy w których sprzedaje się produkty z różnych zakątków świata, ale można też spotkać coś bardziej dla nas rodzimego. I tak na przykład w sklepie z żywnością śródziemnomorską znaleźliśmy kaszę jęczmienianą, w sklepie rosyjskim kaszę gryczaną, w azjatyckim różnego typu pierogi. Z innych ciekawostek — Amerykanie piją wodę z kranu (raczej nie ma zwyczaju kupowania wody butelkowanej). Również w restauracji, jeśli zamówi się wodę, to dostaje się wodę z kranu i ... nie płaci się za nią. Wody gazowanej nie pije się, natomiast do wszelkich napojów dodaje się kostki lodu. W sklepach można kupić wielkie wory pokostkowanego lodu. Nie mogłam na początku zrozumieć, po co im taka ilość lodu... Teraz już wiem — napoje pije się schłodzone niezależnie od pory roku.

SAMOCCHODY

Dla Amerykanów poruszanie się samochodem jest czymś absolutnie oczywistym. Każdy dorosły (często również nastolatek) ma swoje auto³, nikt jeśli absolutnie nie musi, nie będzie korzystał z komunikacji miejskiej czy chodził pieszo. Przyczyną tego nie jest wyłącznie lenistwo — Amerykanie to zamożny naród, a utrzymanie auta jest tanie, więc posiadanie kilku aut nie jest dużym obciążeniem dla domowego budżetu. Benzyna jest niewyobrażalnie tania (w 2010 r. kosztowała 2 dolary za galon, czyli jakieś 1,80 zł za litr), a przed kryzysem (przed 2008 r.) była blisko dwukrotnie tańsza. Przemieszczanie się autem wynika również z innej przyczyny — amerykańskie miasta są znacznie bardziej rozległe, co związane jest z przeważającą niską zabudową. Rodziny mieszkają w domkach, więc siłą rzeczy tych domów jest dużo i zajmują większą powierzchnię.

Prawo jazdy

Zdanie egzaminu na prawo jazdy, w porównaniu z polskim systemem, jest niemal bezstresowym przeżyciem. Pierwszy etap to test teoretyczny. Kandydat na kierowcę musi odpowiedzieć prawidłowo na 75% zadawanych pytań. Wynik testu znany jest od razu — po otrzymaniu pozytywnej oceny wydawane jest (od ręki) tymczasowe prawo jazdy. Uprawnia ono do jeżdżenia po drogach publicznych pod warunkiem, że obok kierowcy siedzi osoba z „pełnym” prawem jazdy (np. mama, tata, mąż, kolega). Oznacza to, że nie ma szkół jazdy i nie spotyka się „elek” na ulicach. Wydaje się to szokujące, ale ten system działa i jest to generalnie bezpieczne.

Kiedy kandydat czuje się już wystarczająco przygotowany, może przystąpić do części praktycznej egzaminu. Na egzamin należy stawić się z własnym samochodem. Ocenie w pierwszej kolejności podlega stan techniczny pojazdu (np. trzeba włączyć poszczególne światła), a następnie umiejętność poruszania się na placu manewrowym i po okolicznych ulicach. Dodam, że w Columbus ruch uliczny (poza autostradami) przypomina ten, który jest we Wrocławiu w niedzielę rano, więc zdanie tego egzaminu jest naprawdę proste. Prawo jazdy otrzymuje się na miejscu, płacąc za to 23 dolary (porównując — to jak 23 zł dla nas). Sam egzamin, podobnie powtórki, jest bezpłatny. Jak widać, cała procedura zorganizowana jest tak, by ludziom ułatwić otrzymanie tego dokumentu.

Znaki drogowe i zasady ruchu drogowego

Poruszanie się autem po amerykańskich drogach wymaga krótkiego czasu adaptacji. Światła umieszczone są za skrzyżowaniem a nie przed. Nasza pierwsza przejażdżka autem to hamowanie na żółtym świetle, po czym gwałtowne przyspieszenie na czerwonym, gdy okazało się, że zatrzymaliśmy się na samym środku skrzyżowania. Na znakach drogowych nie używa się piktogramów, ale opisy słowne np. *speed limit 70* (oczywiście mil na godzinę), *no passing* (zakaz wyprzedzania), *begin one-way* (droga jednokierunkowa), *road works ahead* (roboty drogowe). Czasami można znaleźć jakiś piktogram, jak np. przekreślone S w czerwonym kółku, ale dla uniknięcia nieporo-

³ W Columbus na 1,05 mln mieszkańców stanu zarejestrowanych jest 1,08 mln samochodów (dane z 2010 r.).

zumień zawsze pod spodem znajduje się wyjaśnienie: *no stopping any time*. Podobnie na znaku zakazu wjazdu (taki jak u nas!) jest zawsze napisane *do not enter*. Amerykanie nie używają znaku *droga z pierwszeństwem pojazdu*, można jechać bez zatrzymania tak długo dopóki nie pojawi się znak STOP. Na skrzyżowaniach ulic osiedlowych zazwyczaj znak STOP ustawiany jest na wszystkich czterech schodzących się drogach. W takiej sytuacji wszystkie samochody się zatrzymują i opuszczają skrzyżowanie w takiej kolejności w jakiej przyjechały. Istotną różnicą jest także to, że wolno skręcać w prawo na czerwonym świetle (oczywiście ustępując pierwszeństwa pozostałym uczestnikom ruchu), o ile nie jest to wyraźnie zabronione (czyli nie wisi tabliczka o treści: *no turn on red*).

Rejestracja i ubezpieczenie auta

Samochód musi mieć regularnie co roku odnawianą rejestrację. Za jeżdżenie autem bez aktualnej rejestracji stosuje się surowe kary, obejmujące oprócz grzywny również zawieszenie prawa jazdy. Brzmi znajomo, ale na tym koniec podobieństwa do polskich zasad. Aby zarejestrować samochód trzeba udać się do odpowiedniego urzędu, zapłacić 55 dolarów i nakleić na tablicy rejestracyjnej otrzymaną od urzędnika nalepkę... Taka procedura obowiązuje tylko przy pierwszej rejestracji, w kolejnych latach można wszystko załatwić drogą pocztową. Rejestracji nie towarzyszy żaden przegląd techniczny. Nie wiem jak to wpływa na statystykę wypadków, ale zdarzało mi się widzieć samochody, które z zewnątrz wyglądały jak te, co przyjeżdżają do Polski zza zachodniej granicy na lawetach, z tą tylko różnicą, że w Columbus poruszały się na własnych czterech kołach... Co prawda każdy stan ma swoje prawodawstwo i swój kodeks drogowy, więc nie wykluczone, że w innych miejscach przepisy są bardziej restrykcyjne.

Prawo stanowe Ohio wymaga (pod rygorem zawieszenia prawa jazdy i innych kar) posiadania ubezpieczenia OC w ruchu drogowym. Obowiązkowe ubezpieczenie gwarantuje odszkodowanie za ledwie na kwotę 7,5 tys. dolarów za szkody na mieniu i 12,5 tys. za szkody na osobie (w Polsce odpowiednio 1 mln euro i 5 mln euro). Rzekłabym, że to coś w rodzaju ubezpieczenia od stłuczki, a nie poważnego wypadku. Warto podkreślić, że świadomość prawna jest w Stanach bardzo wysoka. Jeśli zdarzy się wypadek, prawnik osoby poszkodowanej zrobi wszystko, żeby wywalczyć wysokie odszkodowanie, jeśli nie od ubezpieczyciela, to od sprawcy wypadku. Oczywiście za odpowiednio wyższą opłatę firmy oferują znacznie wyższe sumy ubezpieczenia.

Policja

Nasz kontakt z amerykańską policją ograniczył się do dwóch sytuacji. Pierwsza miała miejsce którejś bardzo mroźnej zimy, gdy złapaliśmy gumę i zatrzymaliśmy się na chodniku by zmienić koło. Chwilę później podjechał do nas radiowóz. Już myśleliśmy, że dostaniemy mandat — w Stanach jest zakaz parkowania na chodnikach. Ale policjant spytał się jedynie, czy nie potrzebujemy pomocy... Druga sytuacja tyczyła się przyważonej przeze mnie przez okno próby kradzieży samochodu. Działo się to w środku nocy, na naszym osiedlowym parkingu. Mój mąż zadzwonił na policję i dyspozytor zaczął wypytywać go o kolor auta, liczbę włamywaczy, po której stronie ulicy auto jest zaparkowane itd., ale nie poprosił o podanie danych osobowych, ani nawet

o adres miejsca zdarzenia. Jakieś dwie minuty później na parkingu pojawił się radiowóz i mąż zrozumiał, że został zidentyfikowany po numerze telefonu. Dyspozytor wciąż wypytywał go o to co widzi, by koordynując akcję pomóc policjantom. Kolejne dwie minuty później usłyszeliśmy nad domem helikopter przeszukujący teren za pomocą silnego reflektora. Cała ta akcja wyglądała jak w amerykańskich programach o ściganiu przestępców. Wniosek z tego taki, że policja amerykańska działa naprawdę bardzo sprawnie.

ZAKOŃCZENIE

Trzy lata spędzone w Ameryce były dla mnie niesamowitym czasem — mieszkanie w tym kraju o wyjątkowej historii, poznawanie jego kultury, obyczajów, mieszkańców. Być może najcenniejsze było spotkanie tylu obcokrajowców (z Europy, Azji, Ameryki Południowej). Nie tylko spotkanie, ale wejście w naprawdę bliskie relacje, kiedy ludzie otwierają się i mówią o sobie, swojej historii, o ojczyźnie. Ci ludzie nauczyli mnie pewnej prawdy — jak bardzo wszyscy jesteśmy podobni, niezależnie od tego, w jakim zakątku świata mieszkamy. Jak bardzo podobne są nasze wartości, cele w życiu, pragnienia. Słuchając opowieści moich przyjaciół uświadomiłam sobie, że w przeciwieństwie do wielu miejsc na ziemi, w Polsce żyje się naprawdę dobrze.

Ten tekst dedykuję moim przyjaciołom, którzy zostali w Columbus i tym, którzy rozjechali się po świecie.



Fot. 1. Znak zakaz wjazdu.



Fot. 2. Znak przypominający o sprzątaniu po psie.



Fot. 3. Znak zakazu skrętu w prawo na czerwonym świetle.



Fot. 4. Autostrada w centrum Columbus.



Fot. 5. Ulica w Columbus – sygnalizator świetlny widoczny na zdjęciu to światła dla aut po przeciwnej stronie skrzyżowania.



Fot. 6. Columbus – ekskluzywna dzielnica.



Fot. 7. Columbus – typowe, amerykańskie drewniane domy.



Fot. 8. Poczta.



Fot. 9. Kościół katolicki.



Fot. 10. Campus Ohio State University.



Fot. 11. Azjatycki market.



Fot. 12. Biblioteka Publiczna w Columbus – filia Whetstone.



Fot. 13. Biblioteka Publiczna w Columbus – filia główna.



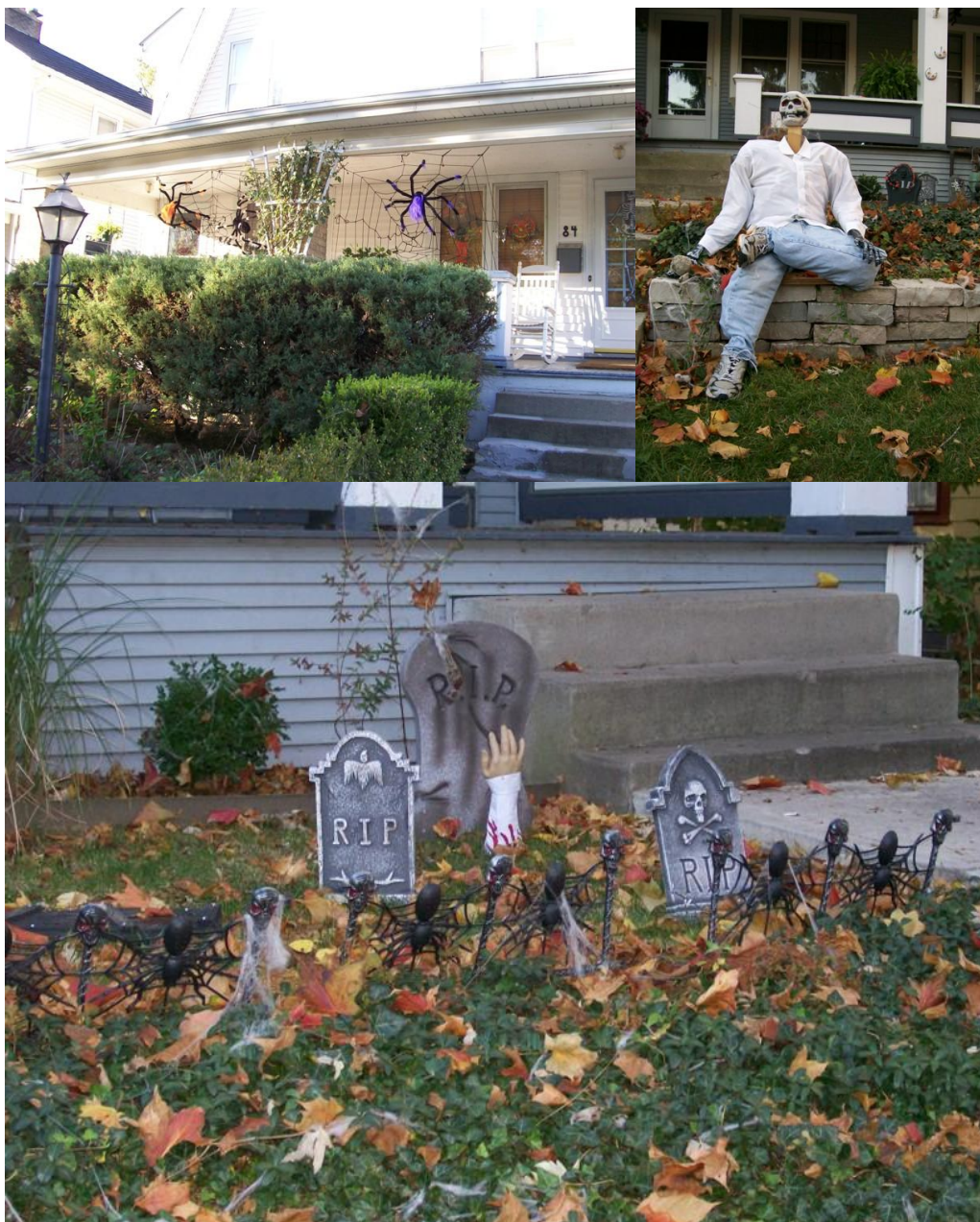
Fot. 14. Drive thru przy bibliotece.



Fot. 15. Olentangy Village – wjazd do osiedla na którym mieszkałam.



Fot. 16. Olentangy Village – mieszkania.



Fot. 17. Przymiowe ogródki wystrojone na Halloween.